

JERZY SNOPEK

## „Nędza małych państw”. Europa Środkowa w myśli Istvána Bibó

István Bibó to jeden z największych w XX wieku myślicieli społecznych i politycznych. Szczególne uwikłanie w historię powojennych Węgier sprawiło, że represjonowany w swym kraju, także za granicą mógł stać się znany i ceniony dopiero po śmierci, która nastąpiła w 1979 roku. Na początku lat osiemdziesiątych w Bernie, dzięki staraniom węgierskiego środowiska emigracyjnego, rozpoczęto edycję dzieł Bibó (w języku węgierskim). W 1986 roku podobne przedsięwzięcie doczekało się realizacji również na Węgrzech, gdzie najważniejsze pisma Bibó zostały wydane w trzech obszernych tomach. Edycję tę dopełniono po czterech latach tomem czwartym, zawierającym rozprawy i artykuły z lat 1935-1979. Udostępnienie wszystkich ważnych pism Bibó czytelnikom węgierskim przyczyniło się niewątpliwie do niezwykłego wprost zainteresowania zarówno jego dziełem, jak i biografią. Po transformacji ustrojowej Bibó stał się wielkim odkryciem dla węgierskiej inteligencji, wzorem cnót moralnych w życiu publicznym oraz rzadko spotykanej uczciwości intelektualnej, rzetelności w myśleniu.

Aczkolwiek już w 1976 roku ukazała się w Stanach Zjednoczonych praca Istvána Bibó pt. *The Paralysis of International Institutions and the Remedies*, zainteresowanie zagranicą twórczością tego myśliciela rozpoczęło się na dobrą sprawę także dopiero w latach osiemdziesiątych. Równocześnie z wielką edycją węgierską w 1986 roku ukazała się w Paryżu książka *Misère des petits États d'Europe de l'Est*, zawierająca cztery podstawowe prace Bibó: *Nędzę małych państw wschodnioeuropejskich*, *Przyczyny i dzieje niemieckiej hysterii politycznej*, *Wypaczony charakter węgierski*. *Sprzeczna historia Węgier* oraz *Kwestia żydowska na Węgrzech*. Nieco innego wyboru dokonali amerykańscy wydawcy tomu opublikowanego w 1991 roku w Nowym Jorku pt. *Democracy. Revolution. Self-Determination*, zamieszczono w nim poza *Nędzą małych państw wschodnioeuropejskich* i *Kwestią żydowską* pisma niewystępujące w edycji francuskiej: *Kryzys demokracji węgierskiej*, *Sens europejskiego rozwoju społecznego*, fragment z *Paraliżu międzynarodowej wspólnoty państwowej* oraz kilka drobnych szkiców politycznych.

---

Prof. dr hab. Jerzy Snopek, Instytut Badań Literackich PAN. Artykuł jest fragmentem przygotowywanej do druku książki *Europa Środkowa – fantom, mit, rzeczywistość. Szkice*

W Niemczech z kolei wydawano kilkakrotnie, w osobnych tomach, pojedyncze prace Bibó, spośród których szczególne zainteresowanie wywołała, co zrozumiałe, *Die deutsche Hysterie, Ursachen und Geschichte*, ale także – *Kwestia żydowska*. Najważniejsze prace ich autora zostały również wydane w przekładach na inne języki; w Polsce w osobnym tomie ukazała się dotychczas – w moim przekładzie i opracowaniu – *Kwestia żydowska na Węgrzech* (Warszawa 1994). Niebawem zostanie opublikowany przygotowany przeze mnie obszerny wybór pism Istvána Bibó *Nędza małych państw wschodnioeuropejskich*.

Wspomniane wyżej perypetie Istvána Bibó na drodze do czytelników miały bezpośredni związek z jego postawą wobec komunistycznego państwa w gorących chwilach rewolucji 1956 roku. Postawa ta wynikała z głębokiego rozczarowania kierunkiem rozwoju społecznego i politycznego Węgier w latach pięćdziesiątych. Niefortunny – ale będący w jakiejś mierze dziejową koniecznością – zwrot w najnowszej historii tego kraju dokonał się w 1949 roku, kiedy to po kilku latach rządów koalicyjnych, w rezultacie sfałszowanych wyborów do władzy doszła partia komunistyczna i szybko zdominowała całą scenę polityczną. István Bibó (ur. 1911) pochodził z rodziny inteligenckiej, należącej do górnej warstwy mieszczaństwa. Ojciec jego był profesorem uniwersyteckim, autorem cennych, ale dziś już zapomnianych prac, głównie z dziedziny psychologii społecznej, matka – wedle określenia syna – była natomiast „geniuszem uczucia”, osobą niezmiernie wrażliwą na wszelką niesprawiedliwość i krzywdę. W świetle całego życia i twórczości Istvána Bibó możemy powiedzieć, że harmonijnie połączyły się w nim cechy odziedziczone po obojgu rodzicach. Dużą rolę w kształtowaniu jego osobowości odegrała także atmosfera domu rodzinnego, przesycona protestanckim poczuciem obowiązku i odpowiedzialności. Od najmłodszych lat Bibó zapowiadał się na wielką – w skali powszechnej – gwiazdę nauk społecznych. Publikował od siedemnastego roku życia, po studiach prawniczych i politologicznych na uniwersytecie segedyńskim (zakończonych podwójnym doktoratem), kontynuował je w świetnych ośrodkach zagranicznych, gdzie znalazł się w kręgu oddziaływania myśli takich badaczy, jak Paul Guggenheim, Hans Kelsen czy Guglielmo Ferrero. Ślady tych inspiracji można znaleźć w dziełach Bibó, podobnie zresztą jak twórczo przezeń spożytkowane idee wybitnych uczonych węgierskich, zwłaszcza historyka Istvána Hajnala i wspomnianego Barny Horvátha.

Wkrótce przed wojną młody uczyony wstąpił do partii ludowej, choć starał się nie nadawać swemu politycznemu wyborowi zbyt dużego rozgłosu. W tym przypadku był to wybór tyleż polityczny, co moralny, jako że Bibó traktował politykę wyłącznie jako służbę społeczną w imię realizacji najszczytniejszych zasad moralnych i stymulowania wszechstronnego rozwoju obywateli, wspólnot i grup społecznych.

Na początku lat czterdziestych przystąpił do pracy nad imponująco pomyślanym, wielkim dziełem *O równowadze europejskiej i pokoju*. Nie wyszło ono nigdy poza fazę roboczego maszynopisu, a formę skończoną zdołało przybrać jedynie słynne potem stu-

dium *Przyczyny i dzieje niemieckiej hysterii politycznej*. Innym rozdziałem owego dzieła była też *Nędza małych państw wschodnioeuropejskich*; Bibó zdołał zarysować kilka pomysłów, z których skorzystał, przygotowując w 1946 roku rozprawę pod takimże tytułem.

Jak wiadomo, prawdziwa wojna rozpoczęła się na Węgrzech z chwilą wejścia Niemców (19 III 1944 r.) i potem Sowietów (choć należy pamiętać o wcześniejszych aktach eksterminacji Żydów). Bibó, który bardzo krytycznie oceniał Węgry horthystowskie oraz zwieńczenie dominującej podówczas ideologii, czyli przystąpienie do koalicji hitlerowskiej, widział potem w doświadczeniach wojennych ważne *memento* i wskazania na przyszłość. Dane mu było zetknąć się z obydwojoma wariantami współczesnego totalitaryzmu: nazistowsko-faszystowskim i komunistycznym. W obliczu zagrożenia komunistycznego trzymał się wiary w możliwość „trzeciej drogi”: ocalenia ideałów socjalizmu i demokracji bez konieczności wklania się w realizację ideologii leninowskiej z jej naczelnym motywem dyktatury proletariatu. Pierwsze lata powojenne, jak wspomniałem wyżej, zdawały się podtrzymywać utopijną – jak się później okaże – wiarę Bibó w „trzecią drogę”. Ów krótki, ledwie trzyletni okres rządów koalicyjnych, był w jego życiu czasem niezwykle skupienia wszelkich sił twórczych. Powstały wówczas jego najważniejsze prace: *Kwestia żydowska*, *Kryzys demokracji węgierskiej*, *Wypaczony charakter węgierski*, *sprzeczna historia Węgier*, *Nędza małych państw wschodnioeuropejskich*, *Traktat pokojowy i demokracja węgierska*, *Węgierski rozwój społeczny i sens transformacji z 1945 roku*, poza tym cały szereg drobniejszych szkiców, reagujących błyskawicznie na zmiany sytuacji społecznej i politycznej, oraz prace związane z praktycznym projektem reformy administracyjnej Węgier, przygotowanym przez Istvána Bibó i jego przyjaciela, ministra w rządzie koalicyjnym, Istvána Erdeia. Z perspektywy wielu lat i rozmaitych doświadczeń wypowiedział on o tym krótkim okresie swego życia pamiętne słowa (w rozmowie z przyjaciółmi): „I co mi kiedyś wygrawerują na krzyżu? István Bibó. Żył: 1945-1948.”

Wraz z umacnianiem się dyktatury komunistycznej, Bibó usunął się całkowicie na ubocze życia społecznego, przestał również pisać. Powrócił w 1956 roku, kiedy to – po XX Zjeździe KPZR – także na Węgrzech zaczęto rozprawiać się z reżimem stalinowskim, na czoło zaczęli się wysuwać partyjni opozycjoniści, przeciwnicy Rákosiego i jego kliki. Ożywiły się wówczas małe, zepchnięte w niebyt przez komunistów, ugrupowania polityczne, w tym Węgierska Partia Chłopska, do której należał Bibó, a która obecnie przybrała (co jemu nie przypadło do przekonania) miano Partii Petófięgo. Po dramatycznym tygodniu rewolucji, 1 listopada rozpoczęto pertraktacje w sprawie powołania do życia rządu koalicyjnego pod przewodnictwem reformistycznego komunisty Imre Nagya. Dwóch kandydatów na ministrów mogła wydelegować również Partia Petófięgo. Co do pierwszego – Ferenca Farkasa – nie było wątpliwości. Na drugie miejsce zgłoszono kolejno wybitnego pisarza Gyulę Illyésa oraz czołowego kulturoznawcę Dezső Keresz-

turyego. Kiedy obydwoj odmówili, propozycję objęcia urzędu ministerialnego otrzymał Bibó. Po długich wahaniach i rozmowach postanowił ją przyjąć. Skład rządu ogłoszono 3 listopada, a nazajutrz o świcie nastąpiła, jak wiadomo, interwencja sowiecka, która w zasadzie położyła kres rewolucyjnemu (powstańczemu) zrywowi Węgrów i zaprowadziła rządy lojalnych wobec ZSRR komunistów z Jánosem Kádárem na czele. W takich okolicznościach rząd Imre Nagya nie zdążył i nie zdołał nic zrobić, a Bibó nie mógł zamienić choćby słowa ze swym premierem. Wszelako jego ówczesna postawa dała początek wspomnianej na początku niniejszych rozważań legendzie Bibó jako bohatera Października, niezłomnego obrońcy godności i praworządności. Otóż podczas gdy członkowie rządu Imre Nagya rozproszyli się na wieść o zbliżającej się zbrojnej inwazji Sowietów, a sam premier poszukał schronienia na terenie obcej ambasady (podobnie jak inni prominenci życia publicznego, np. kardynał Mindszenty i György Lukács), w opustoszałym gmachu Parlamentu pozostał przy swym biurku do końca jedynie minister István Bibó, który pisał wówczas swe słynne orędzie do rządów państw zachodnich. Dodajmy, że w bezpośrednim kręgu Bibó znajdował się podówczas przyszły prezydent Republiki Węgierskiej, Árpád Góncz.

Nowe władze węgierskie nie zapomniały o zasługach rewolucyjnych autora *Kryzysu demokracji węgierskiej*. Ocenily je bardzo wysoko, skazując go na dożywocie. Po kilku latach, na mocy ogłoszonej w 1963 roku powszechnej amnestii, István Bibó opuścił, wraz z innymi więźniami politycznymi więzienie (wszelako amnestia nie objęła wszystkich, co zobligowało go moralnie do ujęcia się za nieszczęśliwymi towarzyszami niedoli w liście do Kádára, mimo ponowienia tej próby prywatnej interwencji, starania te nie przyniosły skutku). Po uwolnieniu pracował jako urzędnik, bibliotekarz, żył na uboczu, starał się powrócić do pracy intelektualnej, skorzystał z zaproszeń zagranicznych, ale władze torpedowały te zamiary. Poddawany różnym drobnym szykanom, w końcu spasował. Porządkował swe pisma, a wkrótce po przejściu na emeryturę (1971), podyktował na taśmę magnetofonową tekst swego ostatniego wybitnego dzieła *Sens europejskiego rozwoju społecznego* (1972). Zmarł na zawał serca w maju 1979 roku, trzy tygodnie po śmierci żony. Pogrzeb jego stał się cichą manifestacją niezależnej inteligencji węgierskiej, zwłaszcza środowisk intelektualnych i artystycznych. Niebawem skomponowano, w formie samizdatu, potężny, dwutomowy zbiór prac (pośród których znalazły się nawet wiersze wybitnych poetów) poświęconych Istvánowi Bibó. W 1983 roku – jak już nam wiadomo – rozpoczęto w Bernie czterotomową edycję jego dzieł, a trzy lata później podobna edycja została przygotowana i zrealizowana również na Węgrzech.

\* \* \*

Problematyka Europy Środkowej nurtowała Istvána Bibó nieustannie. Znalazło to odbicie w wielu jego utworach. Punktem wyjścia był dlań zawsze problem węgierski. Przez pryzmat sprawy węgierskiej patrzył na cały region środkowoeuropejski. Konty-

nuował pod tym względem dzieło Lajosa Kossutha i Oszkára Jásziego, kroczył – w pewnym sensie – śladami całej grupy międzywojennych myślicieli i publicystów węgierskich, ze szczególnym uwzględnieniem László Németha. Poszukując dla swej ojczyzny miejsca w konstelacji państw i narodów europejskich, uciekał się do rozważań nad specyficznym węzłem problematyki środkowoeuropejskiej już we wspomnianym, zarzuconym później dziele z lat wojny, zatytułowanym *O równowadze europejskiej i pokoju*.

Nawiązał do niego, pisząc w 1946 roku – w obliczu zbliżających się rokowań nad traktatem pokojowym – *Nędzę małych państw wschodnioeuropejskich*. W tej pracy interesująca nas problematyka zajmuje miejsce centralne, dlatego koncepcję Bibó przedstawimy tutaj, opierając się głównie na niej. Na pierwszy rzut oka już sam jej tytuł może wydać się dezorientujący, wszak państwa tworzące ściśle historyczne jądro Europy Środkowej zostały tu zakwalifikowane jako wschodnioeuropejskie.

Bibó skłaniał się ku takiej właśnie kwalifikacji terminologicznej, ale ma to dla nas znaczenie drugorzędne. Nie był zresztą pod tym względem konsekwentny, co w jego przypadku – uczonego wielce skrupulatnego pod każdym względem – ma swoją wymowę. W trakcie swych rozważań wielokrotnie mówi już o „Europie Środkowej i Wschodniej”. Nie do końca rozwiązany i nawet wyeksplikowany problem polegał, zdaje się, na lokalizacji takich państw, jak Niemcy czy Austria. Chcąc nie chcąc, autor nawiązywał do bardzo bogatej rodzimej tradycji w refleksji nad regionem środkowoeuropejskim. Jak już wiemy, na Węgrzech – jak zresztą wszędzie – refleksja ta wiązała się ściśle z poszukiwaniem rozwiązań politycznych dla kraju, z próbą nakreślenia optymalnych warunków jego suwerenności i wszechstronnego rozwoju. Tak było u Kossutha, podobnie u Jásziego, Telekiego i całego legionu ich rodaków w okresie międzywojennym. Przez długie lata problem Europy Środkowej wiązał się w optyce Węgrów z pojęciem Monarchii Habsburgów i ewentualnej restytucji dawnych historycznych Węgier, tzw. Monarchii św. Stefana. Wydawało się, że po II wojnie światowej problem Węgier nie będzie się już tak mocno łączył z tą konstelacją, że pojęcie Europy Środkowej będzie już w coraz większej mierze mitem literackim czy kulturowym, coraz bardziej z biegiem lat idealizowanym. Wybiegając w przyszłość, możemy powiedzieć, że podobne tendencje w istocie się ujawniły, ale stało się to kilkadziesiąt lat później pod piórem takich autorów, jak m.in. György Konrád, Miklós Mészöly, Csaba Gy Kiss.

Bibó natomiast, zaraz po wojnie, wyszedł od nader pragmatycznej potrzeby określenia perspektyw najbliższej przyszłości Węgier. Praktyczno-polityczna geneza jego rozprawy nie ograniczyła perspektyw myśli Bibó. Próbując doszukać się prawidłowości w rozwoju historycznym państw naszego regionu, przeprowadził bardzo wnikliwą i efektywną, choć niekiedy kontrowersyjną w swoich wnioskach, analizę ich politycznych determinacji i wyborów, specyfiki kulturowej i mentalnej. Z charakterystyczną dla siebie weredywnością zmierzał do uchwycenia istoty analizowanych zjawisk, do poznania

prawdy i wymierzenia sprawiedliwości dziejowej. Jest całkowicie odporny na pokusy mityzacji przeszłości, obce mu są puste sentymenty narodowe, ale dobro narodu (państwa) ma stale przed oczyma. I harmonijny rozwój całego regionu, gdyż te sprawy są nierozłączne. Bezlitośnie obnaża nasze słabości, często przez nas zawinione. Wierzy, że historia może być jednak „nauczycielką życia”, skoro wykazując mielizny naszych dziejów, hamulce rozwoju, defekty mentalne, stara się nas przed nimi ostrzec i ustrzec. Zdaje sobie przy tym sprawę, że trzeba tego dokonać w sposób najbardziej konkretny i wymierny poprzez rozumne działania polityczne. Na tej drodze można uniknąć mechanizmów prowadzących na manowce. Dlatego *Nędza małych państw wschodnioeuropejskich*, będąc zarazem lekcją głębokiej refleksji dla nas wszystkich, była głównie apelem do stron, które miały stanowić o porządku prawnym i politycznym po II wojnie światowej. Analizując problemy regionu środkowoeuropejskiego w jego klasycznym wyszehradzkim kształcie, pisze w tytule o „państwach wschodnioeuropejskich”. Trudno przypuszczać, że nie zaważyła na tym również aktualna po wojnie, nowa sytuacja polityczna regionu, jego przesunięcie na Wschód, włączenie do strefy wpływów wielkiego imperium europejsko-azjatyckiego, a zatem – jego swoista orientalizacja.

Jak w tej nowej sytuacji kraje środkowoeuropejskie mają się odnaleźć, w jaki sposób mogą zachować więź kulturową z Zachodem, jak budować własną tożsamość? Takie m.in. pytania przyświecały Istvánowi Bibó. Aby znaleźć na nie trafną odpowiedź, przeprowadza wiwisekcję – zarówno w planie diachronicznym, jak i synchronicznym – państw naszego regionu. W ten sposób zmierza do diagnozy i prognozy.

Pierwszy kompleks problemowy, który uznaje za bardzo istotny dla zrozumienia specyfiki środkowoeuropejskiej, łączy się z pojęciem narodu. Wedle Istvána Bibó – podkreśla to w różnych swych pracach – naród stanowi w dziejach Europy podstawową jednostkę; wspólnotę o zdolnościach i skłonnościach państwowotwórczych. Większość narodów europejskich ukształtowała się – jak twierdzi – już w średniowieczu, a na początku XV wieku czołowe z nich, reprezentujące zachodnią część kontynentu (włoski, francuski, angielski, niemiecki, hiszpański) jawiły się już „jako twory o ukształtowanym charakterze politycznym” i „politycznie pokrewne”. Wtedy też, według Istvána Bibó, dokonuje się różnicowanie dwóch modeli narodowych: zachodnioeuropejskiego i środkowoeuropejskiego. Przy czym autor *Nędzy małych państw wschodnioeuropejskich* pojęcie środkowoeuropejskości rezerwuje tutaj dla dwu królestw: niemieckiego i włoskiego. Pisze: „Trzy królestwa: francuskie, angielskie i hiszpańskie, stają się jakościami coraz masywniejszymi i coraz efektywniejszymi, podczas gdy królestwa: niemieckie i włoskie, o konsystencji coraz bardziej rozrzedzonej, coraz mniej widocznej, egzystują coraz wyraźniej w sferze symbolicznej.”

Podane wyznaczniki odrębności wyglądają cokolwiek enigmatycznie. Zwłaszcza gdy zaraz potem Bibó odwołuje się do symbolu, jaki pojawił się w zachodnich strukturach

narodowych. Chodzi mu o Joannę d’Arc i jej rolę w ich rozwoju: „Na scenie pojawia się postać ucieleśniająca po raz pierwszy w dziejach ludowy nacjonalizm i wraz z nią rodzą się wszystkie idee, z którymi uczucie narodowe kojarzy się także dzisiaj: idea narodu, którego dobro stanowi najwyższą perspektywę dla wspólnoty, idea wartości specyficznych cech narodowych, idea oporu wobec obcego panowania, a nawet wysoka ranga języka narodowego.”

Bibó podkreśla jednak, że wspólnota językowa wówczas jeszcze nie stanowiła wyznacznika narodu czy nawet wartości kreującej naród. Krokiem milowym na drodze kształtowania się uczuciowości narodowej i – co za tym idzie – nowoczesnych nacjonalizmów była rewolucja francuska. To właśnie w okresie Oświecenia, w końcu XVIII wieku, dowodzi István Bibó, „procesy polityczne związane z narodem stały się uczuciami powszechnymi”. Twierdzi on przy tym, że następstwa tego procesu, który rozpoczął się w rewolucyjnej Francji i postępował, w różnym rytmie, we wszystkich niemal krajach, by osiągnąć spełnienie w romantycznej Europie, były bardzo zróżnicowane. „W wyniku tego procesu niektóre narody wzbogaciły się materialnie i moralnie, inne natomiast zubożyły się pod względem materialnym i podupadły moralnie. Ale były też kraje, w których ów proces doprowadził do całkowitego impasu.”

Zanim przyjrzymy się owemu impasowi, gdyż – jak łatwo się domyślić – stał się on udziałem naszego regionu, spróbujmy – postępując za tokiem rozumowania autora *Nędzy małych państw wschodnioeuropejskich* – prześledzić antecedencję, a w pewnym wymiarze także źródła. Otóż w naszej części Europy aberracje na tym polu rozpoczęły się w wyniku ekspansji tureckiej. Pod ponawiającym się naporem najeźdźców zaczęły się kruszyć obecne tu „ramy narodowe”. Szlak rozwojowy dwóch podstawowych wartości: państwa i narodu zaczął radykalnie odbiegać od zachodnioeuropejskiego. Na Zachodzie rozwój obydwu tych czynników wyznaczał zarazem ich coraz bardziej harmonijną koherencję, tutaj ich wzajemne związki uległy rozchwianiu i wypaczeniu. Przybrało to, jak dowodzi Bibó, spektakularny kształt w tworze późniejszym – w Imperium Habsburgów, które określa jako „feralną formę państwa”.

Zwróćmy uwagę na fakt szczególnie. Jak wiadomo, najpopularniejszy bodaj mit środkowoeuropejski, obecny również w kulturze węgierskiej ostatnich dziesięcioleci XX wieku, łączy się właśnie z Monarchią Habsburgów. I jest to mit nacechowany zdecydowanie dodatnio. Mówi o „szczęśliwej Austrii” (*Austria felix*). Budzi nostalgię za „utraconym rajem” wielokulturowości, wzajemnej tolerancji. Kreatorzy owego mitu (także w Polsce) przywołują obrazy idyllicznego współżycia wielu narodów, narodowości, grup etnicznych, „barwnego kobierca” swoistości zwyczajów, strojów, muzyki, wierzeń etc. Jest to obraz krańcowo różny od tego, który stworzyła ówczesna literatura środkowoeuropejska, by przywołać choćby nasze rodzime przykłady powieści galicyjskich Jana Lema. Idealizacja Monarchii abstrahuje też w zasadzie od wyników badań historycznych, akcentując spośród

nich jedynie tezy o względnej łagodności państwa Franciszka Józefa w stosunku do zamieszkujących je mniejszości narodowych. (N.b. sama postać tego cesarza, jako bohatera mitu, odbiega radykalnie od jego pełnego historycznego wizerunku.) Jedynie aspekt kulturowy mitu Monarchii może być uznany za bliski stanowi rzeczywistości. Była ona w istocie tygłem wielu kultur, barwną mozaiką o dużym potencjale wartościotwórczym. Tyle że sfera ta nie została, jak dotychczas, wszechstronnie i gruntownie zbadana.

W kontekście tego „mitycznego” nurtu refleksji o Europie Środkowej oryginalność Istvána Bibó, z jego bezwzględnym trzymaniem się faktów historycznych i bezlitosnym instynktem analitycznym, rysuje się niezwykle wyraziście. Tym bardziej że również w społeczności historyków można było spotkać wielu miłośników Monarchii zapatrzonych w nią bezkrytycznie. Były wśród nich także postacie wybitne (na Węgrzech przede wszystkim Gyula Szekfű, w Polsce chyba Marian Zdziechowski), potrafiące stworzyć pozory racji obiektywnej, ale niepotrafiące jednak całkiem ukryć swej stronniczości.

Zauważmy też na marginesie jeszcze jeden nowy rys w refleksji Bibó, tym razem także w kontekście innych projektów środkowoeuropejskich, zarówno tych, w których stanowisko historyczne brało górę nad koncepcją o celach ściśle (bezpośrednio) politycznych, jak w przypadku Oskara Haleckiego, jak również te, w których tendencja była odwrotna (choćby Naumannowska koncepcja Mitteleuropy i nawet projekt dunajski Kossutha). Otóż wszyscy ci autorzy (w najmniejszym stopniu dotyczy to Haleckiego) wychodzą w gruncie rzeczy od geograficznych wyznaczników środkowoeuropejskości, bądź nawet upodrzedniają je w stosunku do celów politycznych. Prawie w ogóle nie zajmują się problemem jakościowych różnic między Europą Środkową a Europą Zachodnią z jednej strony i Wschodnią – z drugiej. Jako pierwszy, zarazem najbardziej konsekwentnie i dociekliwie, zajął się tym właśnie István Bibó. Spróbował w kilku swych pismach uchwycić ów moment dziejowy, w którym Europa zaczyna się wyraziście i geograficznie dzielić na regiony. Bibó dostrzega taki moment w średniowieczu, mianowicie w rozbieżnej ewolucji systemu lennego, który na wschodzie został wypaczony, przyjmując postać wtórnego poddaństwa. Do tej diagnozy nawiąże jawnie Jenő Szűcs w swojej sławnej pracy pt. *Europa – trzy regiony*.

Specyfiką koncepcji Europy Środkowej stworzonej przez Istvána Bibó jest również – jak to jeszcze zobaczymy – skrajnie pesymistyczny, można rzec – wręcz czarny – obraz regionu. Odcina się zdecydowanie nie tylko od wyidealizowanych kreacji literatów i eseistów (także niektórych historyków), ale też od neutralnych w tonie charakterystyk polityczno-ekonomicznych. Tymczasem autor *Nędzy małych państw wschodnioeuropejskich* (również *Przyczyn i dziejów niemieckiej historii politycznej*) już w tytułach swoich prac zaznacza swój stosunek do Europy Środkowej jako historycznie ukształtowanego tworu polityczno-gospodarczo-kulturowego. Traktuje go jako organizm obciążony swego rodzaju syndromem chorobowym.



W jaki sposób do powstania dewiacyjnego mechanizmu rozwojowego przyczynił się przymusowy, długotrwały udział narodów środkowoeuropejskich w egzystencji Imperium Habsburgów? Otóż wedle Bibó imperium to było tworem połowicznym, niespójnym, rozsadzanym przez sprzeczności. Było obliczone na realizację interesów narodu-suwerena i nie miało szans na stworzenie rzeczywistej wspólnoty. „Poważne intencje zjednoczeniowe – pisze Bibó – nigdy się w tej unii nie urzeczywistniły. Cała groteskowość ujawniła się w czasie wojny dziedzicznej w Austrii – kraj bez nazwy, zbiór narodów bądź odłamków narodów: austriackiego, węgierskiego, czeskiego, lombardzkiego, belgijskiego i chorwackiego z ich rozmaitymi prawami, językami, systemami administracyjnymi i formami świadomości.”

Jeśli chodzi o wspomniane przez Bibó „formy świadomości”, to odnoszą się one przede wszystkim do świadomości narodowej, do poczucia wspólnotowej tożsamości, wręcz – do jednoczącej uczuciowości, swego rodzaju solidarności w emocjach i odruchach. Oczywiście, osiągnięcie takiej świadomości w warunkach zróżnicowania, o którym mowa wyżej, jest niezmiernie trudne, wydaje się nawet niemożliwe. Może się ukształtować przy wielojęzyczności i takie precedensy historyczne są znane. Ale różność pamięci zbiorowych, różność tradycji kulturalnych zdają się taką możliwość wykluczać. Bibó w 1945 roku mógł mieć – i niestety miał – więcej złudzeń (przy całej swej przenikliwości i krytycyzmie). Mylił się – jak zobaczymy – w ocenie sytuacji Jugosławii i Związku Radzieckiego i sądził, że w pewnych okolicznościach konglomerat „narodów, odłamków narodów” może stać się harmonijnym organizmem ze wspólną świadomością i patriotyczną uczuciowością. Nie przekreślał takiej możliwości nawet w przypadku państwa habsburskiego: „Dopiero w drugiej połowie XVIII wieku zaczyna (w znaczącym stopniu) pojawiać się dążność do wyposażenia dunajskiego państwa Habsburgów w swoistą „austriacką świadomość”. Zanim jednak zdołało się coś z niej wykluczyć, wraz z rewolucją francuską ujawnił się nowoczesny, demokratyczny nacjonalizm, co stworzyło zupełnie nową sytuację.

Zarysowuje się tutaj pewna niezborność myślowa. Niełatwo pogodzić powyższą konstatację Istvána Bibó z tezą, z której nieuchronnie wynika prosty wniosek, że pewne szlaki rozwojowe w nowoczesnej Europie zanikły, urwały się w epoce Oświecenia. Ówczesne procesy demokratyzacji i nacjonalizacji uczuć wspólnotowych wyniosły naród i wartości narodowe na wysoki piedestał, a egzaltacja uczuć narodowych w romantycznej Europie przypieczętowała jak gdyby ostatecznie ów przełom. To, co przedtem, choć trudne, było możliwe, od pewnego momentu jest już raczej utopijne. A zatem dzisiaj w sytuacjach porównywalnych (grawitujących ku analogii) z sytuacją imperium Habsburgów wykształcenie wspólnej świadomości – pod egidą hegemonia – skazane jest na niepowodzenie. Czy prawidłowość ta miałaby nie dotyczyć projektów środkowoeuropej-

skich? Przypomnijmy, że omówiony tu przez nas wcześniej\* projekt dunajski Lajosa Kossutha powstawał w momencie, gdy nowoczesny nacjonalizm sięgał zenitu. Zresztą sam projekt zrodził się z nacjonalistyczno-patriotycznych pobudek (jak później koncepcja Naumanna). Jak pamiętamy, Kossuth (bo już nie Naumann) pragnął wykluczyć ze swej konfederacyjnej idei pozycję kraju-narodu hegemonu, aby radykalnie odróżnić unię krajów dunajskich od austriackiej, choć wielonarodowej, monarchii Habsburgów. Wszelako nawet usunięcie tej niewątpliwej przeszkody na drodze do wspólnej świadomości, nie okazuje się wystarczające. Kiedy István Bibó stwierdza, iż Imperium Habsburgów było doraźną unią i zdołało jedynie doprowadzić do osłabienia narodów, które znalazły się w jego granicach, nie było wszakże w stanie doprowadzić owych narodów do stopienia się ze sobą, że świadomość „Austrii” pojawiła się na przełomie XVIII i XIX wieku, ale głębiej zakorzeniła się jedynie w dziedzicznych prowincjach niemieckich, to możemy jego stwierdzenie zastosować również – probabilistycznie – do wszelkich prób kreowania podobnych organizmów państwowych, także (czy: przede wszystkim) do projektów środkowoeuropejskich. Twory wymyślone czy to przez Kossutha, czy przez Naumanna, nie miałyby szans na zintegrowaną świadomość (i uczuciowość). Ale projektodawcy liczyli się z tym. Stawiali sobie cele bardziej ograniczone. Chodziło o wielopodmiotową konfederację, o stworzenie wspólnoty jako siły politycznej i ekonomicznej.

Takie same cele przyświecają też budowniczym Unii Europejskiej. W tym przypadku także chodzi głównie o profity gospodarcze i polityczne, ale wspomina się również, że efektywność funkcjonowania takiego ponadnarodowego organizmu jest (będzie) ściśle uwarunkowana stopniem jego integralności. Ta zaś jest trudna do wyobrażenia bez integracji kulturowej. Łatwiej o Europę bez granic, o wspólne prawodawstwo aniżeli o wspólną europejską świadomość, o solidarną uczuciowość, o wspólny system wartości kulturalnych. Pytanie, czy tego chcemy. I za jaką cenę? Możemy wyprzeć się rodzimych marek samochodów, skoro kooperujemy z wieloma innymi państwami unijnymi przy produkcji doskonalszych konstrukcji, choćby nawet pozaeuropejskich. Ale czy możemy wyprzeć się własnej literatury, nawet jeśli uznamy wielkość twórców obcych? W mniejszej mierze dotyczy to sztuk plastycznych (zwłaszcza gdy nie są zrośnięte z polskimi realiami) czy muzyki (szczególnie jeśli nie jest osadzona głęboko w rodzimej tradycji), jednakże dzieła będące zarazem swego rodzaju pomnikami języka narodowego nie dają się w gruncie rzeczy zastąpić.

Tego rodzaju stan umysłu i dyspozycja psychiczna wydają się powszechne, wszelako narody mniejsze, w których doświadczeniu historycznym występuje zagrożenie bytu narodowego, a przy tym narody jednojęzyczne, szczególnie mocno mitologizują, a w pewnych sytuacjach wręcz absolutyzują, rolę języka jako swego atrybutu, swoistego funda-

---

\* We wcześniejszym rozdziale wspomnianej, nieopublikowanej jeszcze książki *Europa Środkowa – fantom, mit, rzeczywistość. Szkice*.

mentu tożsamości i gwaranta przetrwania. Odnosi się to również do narodów środkowoeuropejskich. Dlatego też właśnie w tym regionie zrodziło się zjawisko uznane przez Bibó za specyficzne dlań i określone mianem nacjonalizmu językowego. Autor *Nędzy małych państw wschodnioeuropejskich* odnosi się sceptycznie do owego mitu językowego, choć konstataje – jako fakt historyczny – jego rozpowszechnienie. Pisze: „Dziś już nawet w Europie Zachodniej upowszechnił się pogląd, iż naród powstaje w ten sposób, że „zbierają się” ludzie mówiący jednym językiem i zakładają państwo. Tymczasem coś takiego nigdy się na świecie nie zdarzyło. Punktem wyjścia jest struktura państwowa, którą lud pragnie osiąść potęgą zdemokratyzowanych, powszechnych uczuć narodowych. W wyniku pojawienia się nacjonalizmu językowego wszystkie tutejsze narody zaczęły oceniać swą sytuację także z perspektywy językowego układu sił: narody, które miały za granicami krewniaków językowych, wystąpiły z programem połączenia się z nimi na podstawie języka ujednoczonego. Te zaś, na których terytorium żyły ludy różnojęzyczne, wystąpiły z programem państwa narodowego, w którym obowiązywałby jeden język. Istotą tych dążeń było wsparcie niepewnego bytu historycznego czynnikami etnicznymi. Ale fakty językowe nie tworzą narodu. Albowiem także tutaj, jak wszędzie indziej, narody są tworzone przez czynniki natury politycznej. Prawdziwe jest tedy twierdzenie głoszone często przez wyznawców środkowoeuropejskich i wschodnioeuropejskich całości historycznych, że sam język nie jest czynnikiem narodotwórczym, że jest nim tylko historia.”

Stanowisko Istvána Bibó w tej kwestii wypływa z pewnością z głębokiego przemyślenia całej sprawy i rzetelnej analizy faktów historycznych. Wydaje się jednak, że na ostatecznym poglądzie Bibó zaważyła wiedza o skutkach, jakie kult języka, ów nacjonalizm językowy, wywołał. Sprawił mianowicie, „że w Europie Środkowej i Wschodniej granice pomiędzy narodami okazały się płynne.” Gwoli ścisłości przyznajmy, że nie ukazuje on obu tych zjawisk – nacjonalizmu językowego i płynności granic – w trybie zależności przyczynowo-skutkowej, pisze raczej o ich przyległości, współwystępowaniu, wszelako sam tok jego rozumowania rzuca *odium* winy za niekorzystne – niekiedy katastrofalne – wydarzenia historyczne właśnie na językowy nacjonalizm. Ostrość podziałów granicznych, stabilność poczucia granic pomiędzy narodami, została w naszym regionie zakłócona, ponieważ części wspólnot mówiących tym samym językiem znajdowały się po różnych stronach politycznych granic państwowych. Innymi słowy: granice państwowe i granice językowe w Europie Środkowej nie pokrywały się wzajemnie. Więż psychiczna z własną mniejszością (czy w drugą stronę – większością) narodową (językową) ciążyła ku ziemiom przez nią zamieszkiwanym, znajdującym się zaś w granicach państwa sąsiedniego. Pisze Bibó: „Rychło wytworzyła się zatem sytuacja, w której wszystkie odradzające się tu narody wdały się w spory graniczne z przeważającą częścią sąsiadów. Sytuacja ta spowodowała mnóstwo wojen i katastrof, z których pochodziła

jeszcze większa niepewność statusu terytorialnego i bytu narodowego. Tu znajduje się główne źródło **histerii** politycznej narodów Europy Środkowej i Wschodniej.”

Ukazanie w takiej perspektywie zjawiska rzeczywiście bardzo charakterystycznego dla naszego regionu, owego kultu języka rodzimego, opatrzonego przez Bibó pejoratywnie nacechowanym mianem *nacjonalizmu językowego*, nie wydaje się trafne.

Historia naszych krajów dowodzi, że ów szczególny stosunek do języka był tu zjawiskiem prymarnym, można powiedzieć – elementarnym. Kult mowy ojczystej pojawiał się w dużym natężeniu w sytuacjach (*nomen omen*) granicznych, w chwilach dużego zagrożenia egzystencji narodu. Dotyczy to właściwie wszystkich państw regionu. Nawet jeśli ich wyższe warstwy społeczne chętnie posługiwały się francuszczyzną czy niemczyzną. Oczywiście wstrząs demokratyczny odegrał swoją rolę, podobnie jak później romantyzm. Wszelako egzaltacja językowa w Europie Środkowej miała swe własne, odrębne źródła. Kiedy Polska zniknęła z mapy Europy, to nie z Francji płynęły inspiracje do podkreślania roli języka ojczystego w życiu narodu (zwłaszcza – narodu pozbawionego państwowości). Taki stosunek do języka był kreowany przez własne, szczególnie bolesne, doświadczenie wspólnoty, przez rodzące się w tych okolicznościach katastroficzne wizje przyszłości, w której, jak wieszczyl Franciszek Karpiński, „głodne dzieci matka przymuszona / panującego języka naucza”. Także na Węgrzech motywacja językowa była szczególna. Stymulowało ją poczucie językowego osamotnienia, lęk przed zdominowaniem przez potężniejszych sąsiadów, a w połowie XIX wieku również narastająca obawa przed roztopieniem się „w morzu słowiańskim”. To wówczas István Széchenyi (który nb. władał językiem węgierskim nie całkiem doskonale, jako że od dzieciństwa posługiwał się głównie niemczyzną), wypowiedział słynną formułę „naród żyje w swoim języku”. Ma ona swe własne źródło, a brzmi przecież jak echo słów starego Krasickiego, zalecającego swemu narodowi przetrwanie w kulturze, a podobne idee bliskie były zarówno Czechom, jak i Słowakom w okresie „odrodzenia narodowego”.

Tak więc środkowoeuropejski „nacjonalizm językowy” miał szczególne znaczenie dla egzystencji tutejszych narodów. Stanowił swoistą tarczę w obliczu obcej inwazji, rękojmię solidarności, siłę ogniskującą poczucie tożsamości narodowej. Bibó odnosi się do sytuacji, jaka wytworzyła się po pierwszej wojnie światowej, po rozpadzie Monarchii Habsburskiej. Powstałe wówczas na jej gruzach nowe bądź odrodzone małe państwa środkowoeuropejskie zostały oddzielone granicami, które nie pokrywały się z granicami językowymi. I wówczas rzeczywiście gorący stosunek do ojczystego języka mógł zaognić wzajemne stosunki. Czy jednak bez „nacjonalizmu językowego” udało by się uniknąć wszelkich roszczeń i konfliktów? Co przede wszystkim było ich pierwotną i najistotniejszą przyczyną? Jaka była rola błędnych decyzji mocarstw określających zasady nowego ładu w Europie Środkowej? I wreszcie: jak mamy się odnosić do oporu mniejszości narodowych wobec nieuniknionych tendencji zdominowania ich, zasymilowania,

wchłonięcia przez większość? Na to ostatnie pytanie szczególnie starannie musimy szukać odpowiedzi, gdyż dotyczy ono sytuacji, z którymi los historyczny może nas jeszcze zetknąć. Możemy stanąć wobec groźby utraty tożsamości, pamięci historycznej, języka narodowego i dzieł w nim spisanych, zarówno jako małe (i większe) narody Europy Środkowej (i nie tylko), jak i – Europejczycy po prostu, jeśli nasza siła asymilacyjna w stosunku do napływowej ludności pozaeuropejskiej okaże się niewystarczająca, a sami staniemy się z czasem mniejszością w Europie. Sprzyjają takiej, złowróżbnej dla nas, sytuacji zjawiska stworzone i wykreowane przez świat cywilizacji zachodniej: globalizm i kultura masowa, zwłaszcza w formie tzw. popkultury. Jednym z efektów głównych ich działania jest – mówiąc najogólniej – zacieranie różnic. Proces ten przebiega w rozmaitych dziedzinach życia społecznego, zarówno w sferze gospodarczej i ekonomicznej, jak politycznej, zarówno w obrębie kultury (zwłaszcza zdobywającej coraz bardziej dominującą pozycję – popkultury), jak i sportu etc. Tak więc to, co łączyło się z chorobą – w ujęciu Bibó – środkowoeuropejską może z czasem współtworzyć syndrom ogólnoeuropejski.

Pokazując historię owej choroby, István Bibó odwołuje się do dziejów upadku trzech środkowoeuropejskich (w jego terminologii – wschodnioeuropejskich) państw historycznych: Polski, Węgier i Czech. Wszystkie trzy były wchłonięte „w większej lub mniejszej mierze przez monarchię Habsburgów, a potem odrodzone w wyniku jej rozpadu. Udało im się wykazać, że w przeciwieństwie do państwa Habsburgów są rzeczywistymi żywymi organizmami.” Tu Bibó przechodzi do porządku dziennego nad przymiotami, które pomogły im przetrwać, i skupia się nad defektami, które stawały na przeszkodzie harmonijnemu rozwojowi regionu, stając się zarzewiem wzajemnych urazów i konfliktów, a w konsekwencji – kataklizmów w szerszym wymiarze.

Spróbujmy prześledzić tok rozumowania autora *Nędzy małych państw wschodnioeuropejskich*. Rozpoczyna od analizy „problemu Polski”. W dziejach Rzeczypospolitej dostrzega dwa punkty zapalne: Wielkie Księstwo Litewskie i Prusy Wschodnie. Ujawniły one swe groźne oblicze po tym, jak w konsekwencji trzeciego rozbioru „Rosja otrzymała w całości terytoria rosyjsko-litewskie, natomiast Prusy i Austria podzieliły się ziemiami czysto polskimi.” Polacy zaś – pisze Bibó – „nie byli zdolni dostrzec różnicy pomiędzy tym, co w rozbiorach było **historyczną koniecznością**, a tym, co w nich było wyłącznie **przemocą**.” Ta mylna interpretacja i ocena przez Polaków faktów historycznych była tylko konsekwencją – w ujęciu Bibó – błędu podstawowego, o nieporównanie większej wadze. Otóż autor *Nędzy małych państw wschodnioeuropejskich* dowodzi, że Polska powinna była „podstawą życia narodowego uczynić terytoria polskie i umieć zrezygnować z rozległych prowincji wschodnich, gdzie byli jeszcze wielcy polscy obszarnicy, ale nie było polskich mas.” Historia – idźmy dalej za rozumowaniem węgierskiego myślicielela – kilkakrotnie dawała Polsce szansę, aby ten historyczny błąd naprawić, lecz szansa

ta nie została wykorzystana. I tak „po pokoju ryskim pod panowaniem polskim znalazła się przeszło sześciomilionowa mniejszość rosyjska i ukraińska, co w dużej mierze przyczyniło się do oddalenia się Polski od demokracji. (...) Dwadzieścia lat później, w 1939 roku, (...) Polska po raz trzeci nie wykorzystwała tej samej historycznej lekcji, lekcji zalecającej stan wzajemnego zaufania w stosunkach z Rosją.

Z chwilą zakończenia II wojny światowej Polska znalazła się znów w stanie ducha sprowadzającym się do przekonania, że Europa ma wobec niej dług. I otrzymała od mocarstw decydujących o powojennym ładzie w Europie szczególne odszkodowanie – według Bibó: „Śląsk i połowę Pomorza oraz możliwość całkowitego wysiedlenia Niemców”.

Jak widzimy, ten sąd nad kilkoma wiekami polskich dziejów, nad strategią długofalową polskiej polityki, jest bardzo surowy, można rzec – bezlitosny. Czy jednak opiera się na trafnych argumentach, czy jest sprawiedliwy? Znamy Bibó jako myśliciela, dla którego ponad wszelkie sentymenty liczą się właśnie prawda i sprawiedliwość dziejowa. Dlatego, że jedynie one mogą służyć dobru powszechnemu. Ów głęboko moralny punkt widzenia Istvána Bibó nakazuje poważne potraktowanie jego wywodów i płynących z nich wniosków. Czy jednak – wbrew swym czystym intencjom – przypadkiem się nie myli? Czy dysponował dostateczną wiedzą przedmiotową? Jak widzi właściwe granice państwa polskiego? Uważa bowiem, że znajdują się poza nimi zarówno terytoria wschodnie, które Polska utraciła po II wojnie światowej, jak i ziemie zachodnie, które otrzymaliśmy, jak to określa, w ramach odszkodowania.

Wszelako wysuwając rozmaite wątpliwości i kontrargumenty w kwestiach szczegółowych bądź formułując pod adresem Bibó pytania ogólniejsze, choćby o chronologiczny punkt zerowy „legalnej”, akceptowalnej dziś ekspansji terytorialnej, bądź działań kolonizacyjnych, musimy przecież przyznać, że jego teza podstawowa jest zdrowa i słuszna. Defekt jej sprowadza się do tego, że (patrz zastrzeżenia i wątpliwości sformułowane wyżej) w wielu konkretnych przypadkach trudno ją rzetelnie zastosować. Zasada ta – przypomnijmy – brzmi: podstawą życia narodowego danego państwa winny być terytoria rdzenne. Zasada ta była nagminnie gwałcona w dziejach „państw wschodnioeuropejskich” i to prowadziło do ich „nędzy”.

Drugi przykład rozpatrywany przez Bibó dotyczy Węgier. Także w tym przypadku Bibó jest bardzo zasadniczy i nie odstępował od swego rygoryzmu. Wskazuje, że „w punkcie wyjścia problem Węgier jest taki sam jak problem Polski. Otóż istniały pewne historyczne ramy państwowe, które wszelako nie były wypełnione jednorodnym węgierskim żywiołem językowym, obejmowały bowiem kilka narodowości.” Oskarża węgierskich mężów stanu, polityków i wszystkich rzeczników Węgier historycznych, tj. wielonarodowościowej Korony św. Stefana, o fałszywe widzenie rzeczywistości i niewyciąganie właściwych wniosków z lekcji historycznych. Sądzi bowiem, że zarówno im, jak i wszystkim mniejszościom, zależy tak samo na dobru państwa, że mniejszości narodo-

we postrzegają je jako swoje. Pokładali nawet wielkie nadzieje w postępie procesów demokratycznych, które miały stać się czynnikami stymulującymi jedność wielko-węgierską. Tymczasem spotkał ich srogi zawód w 1848 roku, kiedy to „naród węgierski, walcząc o wolność, stanął oko w oko nie tylko z siłami europejskiej reakcji, lecz także z własnymi niezadowolonymi narodowościami, co doprowadziło do klęski węgierskiej Wiosny Ludów w 1849 roku. Wszelako także Węgrzy nie wyciągnęli właściwych wniosków z tej historycznej lekcji. Zawarli opartą na fałszywych przesłankach ugodę z Austrią (1867). Tym samym wyrzekły się pełnej niepodległości, aby ścigać miraż wielkich Węgier historycznych. Z tego samego powodu odpychały demokrację. Bały się, że wolności demokratyczne w pełni respektowane muszą objąć również mniejszości narodowe, a to może doprowadzić je do secesji. W tym przypadku zapamiętano, jak widać, lekcję 1848/1849 roku, ale skorzystano z niej tylko na pozór racjonalnie, w rzeczywistości jednak – opacznie. W rezultacie – jak pisze Bibó – „po żyjących w południowej części kraju narodowościach, które wykształciły już całkowicie odrębną świadomość narodową, teraz już także słowacka i rusińska ludność terytoriów północnych oderwała się ostatecznie od idei Węgier historycznych”.

W praktyce musiało się to dokonać po rozpadzie Monarchii, która jednak podtrzymywała w swym łonie choćby ich (tj. Węgier historycznych) pozór. W chwili zawierania traktatu pokojowego po I wojnie światowej Węgrzy niewiele mieli już do powiedzenia. Nie mieli też złudzeń co do konieczności rozstania się z ideą wielkich Węgier. Tak właśnie się stało, ale granice nowego okrojonego państwa zostały wytyczone bez względu na linie podziałów etnicznych (językowych): „od Węgier odłączono nie tylko ziemie zamieszkałe przez ludność innojęzyczną, lecz także dosyć rozległe terytoria węgierskie”.

Skutki były tyleż łatwe do przewidzenia, co opłakane. Oto „Węgierska opinia polityczna przypisała rozbiór Węgier wyłącznie brutalnej przemocy i hipokryzji zwycięzców. W następstwie tego nie umiano oderwać się od obrazu wielkich historycznych Węgier: Europa jest dłużnikiem Węgier, gdyż zadała im ciężką niesprawiedliwość.” Nieubłagana logika historii sprawiła, że owa „trauma triañońska” po dwóch dekadach popchnęła Węgrów w ramiona Hitlera. Z perspektywy 1945 roku István Bibó twierdził, że iluzję Korony św. Stefana rozwiła ostatecznie katastrofa roku 1944 i trzeba się liczyć z tym, że nowy traktat pokojowy nie będzie Węgrom gwarantował nawet granic etnicznych.

Źródłem problemu czeskiego było, jak to ukazuje autor *Nędzy małych państw wschodnioeuropejskich*, również „rozejście się granic językowych z granicami historycznymi”. Jednakże pod pewnym istotnym względem sytuacja Czech różniła się od sytuacji Polski i Węgier. Otóż Czesi nie byli hegemonami w tym państwie. Było ich dwukrotnie więcej aniżeli „zamieszkałych wzdłuż granic” Niemców, jednakże obie nacje żyły od średniowiecza do nastania epoki Habsburgów pokojowo i obydwie uważały Czechy za swój kraj. Potem natomiast górę zaczęli brać Niemcy, a w czasie wojny trzydziesto-

letniej, jak pisze Bibó, „odrębność państwowa Czech zupełnie się zatarła”. Wyrazny przełom nastąpił wszakże dopiero w końcu XVIII wieku, kiedy doszło między Czechami i Niemcami do ostrych konfliktów na tle wyostrejzonej świadomości językowej. W pierwszym okresie tej „wojny domowej” zarówno jedni, jak i drudzy trwali wciąż przy historycznych Czechach, ale niebawem „obie strony zarzuciły nagle myślenie w kategoriach historycznych Czech”. Czesi zwrócili się do świadomości słowiańskiej, zbliżając się zarazem do Słowaków, Niemcy szukali swego miejsca w kręgu idei wielkoniemieckiej. W trakcie tworzenia się państwa czechosłowackiego ujawniły się istotne sprawności i w 1938 roku – w chwili próby historycznej – „okazało się, że nie tylko ludność niemiecka zamieszkała w Czechosłowacji, lecz także ludność węgierska, a nawet niemała część ludności słowackiej nie odczuwa solidarności z państwem czechosłowackim”. Po aneksji przez Niemcy, Czesi mieli dojmujące poczucie zdrady przez własne mniejszości i w tym momencie ich przypadek, ich historyczne doświadczenie pokryło się z polskim i węgierskim. Po roku 1945 sytuacja nowego państwa czechosłowackiego wyglądała tak, że objęło ono historyczne Czechy, do których została przyłączona część historycznych Węgier, jak podkreśla István Bibó – także etnicznych.

Na marginesie rozważań o syndromie środkowoeuropejskim wyłaniającym się niejako z wyszehradzkiego jądra regionu Bibó poświęca też nieco miejsca *casusowi* Jugosławii (w pewnym stopniu także – ZSRR), zdającym się wskazywać inną drogę rozwoju. Rozpatrując sytuację Jugosławii z perspektywy zrealizowanej w niej wspólnoty wielu narodów, wprawdzie słowiańskich (na ogół), ale o różnych wyznaniach i językach, próbuje dociec, jakie to szczególne uwarunkowania zdołały w tym przypadku przełamać powszechny – zdawałoby się – mechanizm generowania wewnętrznych konfliktów i ostatecznego rozpadu podobnych organizmów państwowych. Uznał, że decydująca była wspólnota losu, tradycja heroicznej walki o wspólne cele w czasie drugiej wojny światowej, doświadczenie wspólnego zwycięstwa. Po upływie kilkudziesięciu lat diagnoza i interpretacja Istvána Bibó może wydać się naiwna, na wyrost optymistyczna, ale rzecz cała domaga się przede wszystkim pogłębionej analizy.

Wracajmy jednak do pesymistycznego obrazu trzech historycznych państw regionu. Przytoczmy konkluzję autora: „Wszystkie trzy stanęły oko w oko z faktem, że odziedziczyły historyczne terytoria, z którymi były połączone głębokimi więziami uczuciowymi, ale wskutek wielojęzyczności owych terytoriów nie były w stanie wypełnić ich jednorodną świadomością narodową. Wszystkie usypiały się przez jakiś czas płonną nadzieją, że spajająca moc demokracji i wolności będzie zdolna skuć w jedno ciężącą ku różnym stronom ludność. (...) Trzy klęski – wszystkie trzy narody czuły (i nie bezpodstawnie), że Europa haniebnie je oszukała, pozostawiając samym sobie. Zarazem były ślepe na logikę historii, wszystko przypisywały przemocy zewnętrznej, toteż wierzyły w restaurację starego ładu.” Wiązało się to, wedle Bibó, z ich roszczeniami terytorialnymi i z po-



tępianymi przezeń deportacjami ludności z Polski i Czechosłowacji. W tym kontekście padają też słowa o przenoszeniu owych roszczeń terytorialnych ponad demokrację, co wygląda na niecisłość historyczną, na anachronizm. Możliwości kultywowania wartości demokratycznych były wszak – nawet tuż po wojnie – mocno ograniczone, podobnie jak suwerenność inkryminowanych państw. Także rola kwestii językowych, mocno przez Bibó akcentowana, wymaga być może reinterpretacji w związku z niedawnymi doświadczeniami jugosłowiańskimi, a w pewnym sensie – także czechosłowackimi (w tym kontekście gruntownej analizie należałoby również poddać *casus* Szwajcarii jako państwa wielojęzycznego).

Gdzie szukać źródeł środkowoeuropejskiej specyfiki? Bibó przywołuje powszechny wówczas (1945) – jak twierdzi – pogląd, że całe terytorium na wschód od Renu, między Francją a Rosją, jest zasadniczo zacofane w sferze kultury politycznej. Składa się na to: antydemokratyczny charakter stosunków społecznych, brutalność metod i praktyk politycznych, „ciasnota, małostkowość i wulgarność” tutejszego nacjonalizmu, sprawowanie władzy politycznej przez wielkich posiadaczy ziemskich, monopole kapitalistyczne i kliki wojskowe, „mętne, mgliste i kłamliwe” koncepcje filozofii politycznej, organiczna niezdolność ludów i krajów tego regionu do rozwinięcia demokracji typu zachodnioeuropejskiego.

Zanim przejdziemy do dalszych wywodów Istvána Bibó, zwróćmy uwagę na kontrast między tym ponurym obrazem Europy Środkowej (w znacznie poszerzonych granicach obejmujących nawet Niemcy) a jej wizjami literackimi. Wystarczy zderzyć pogląd Bibó o „ciasnocie, małostkowości i wulgarności” tutejszego nacjonalizmu z nostalgicznymi opisami harmonijnego bytowania wielokulturowych społeczności w warunkach powszechnej tolerancji.

Analizując wymienione wyżej wyznaczniki społeczeństw środkowoeuropejskich, autor *Nędzy małych państw Europy Wschodniej* wychodzi od pytania, czy owo zacofanie ma jakieś szczególne uwarunkowania „przyrodzone” tutejszym społecznościom, czy też stanowi wytwór szczególnej sytuacji historycznej regionu. Skłania się ku tej drugiej możliwości. Wymienia aberracje rozwojowe (można by z kolei zapytać o źródła aberracji), które doprowadziły do trwałych defektów. „Instytucje, które w Europie Zachodniej tworzyły szkołę demokracji, znacznie mniej intensywnie przekształcały społeczeństwa Europy Środkowej i Wschodniej. Obszar lenna w sensie zachodnim, tj. opartego na regułach osobistej umowy, rozciągał się jedynie do Łaby, dalej zaś zaczynała się strefa opartego na ucisku, sztywnego i zuniformizowanego poddaństwa. Im dalej na wschód, tym w mniejszym stopniu dochodziło do szerzenia się mieszczańskich wzorów życia wśród najniższych warstw społeczeństwa.”

„Nikt nie przewidział – dodaje Bibó – że w połowie XX wieku nie tylko Rosja, ale i Turcja znajdzie się na prostszej linii rozwoju społecznego niż np. Polska czy Węgry.”

Spostrzeżenia węgierskiego uczonego dotyczące rozdzielenia się dróg europejskie-

go rozwoju na progu epoki nowożytnej są bardzo cenne i zainspirowały innych historyków. Wszelako wywodzenie z tego całej późniejszej nędzy „małych państw” regionu nie wydaje się trafne. Przecież chwilę przedtem sam Bibó mówi, że im dalej na wschód, tym było gorzej. Specyfiką Europy Środkowej była właśnie pośredniość między dwoma biegunami: zachodnim systemem lennym, opartym na zasadzie osobistego kontraktu, i wschodnim wtórnym poddaństwem. Za jedną z głównych cech społeczeństw środkowoeuropejskich Bibó uważa chorobliwy, wyjątkowo wyostrojony nacjonalizm, nie pamięta przy tym, że właśnie trzy kraje przezeń analizowane były ongiś ażylem wykluczonych i prześladowanych, że tu znalazła schronienie największa rzesza Żydów, że tutaj osiedlali się różnowiercy z Zachodu (w szczególności dotyczy to Węgier historycznych, zwłaszcza Siedmiogrodu oraz Rzeczypospolitej), że bardzo łatwo asymilowali się imigranci z państw zachodnich (i nie tylko, bo także w Polsce np. liczne grupy Ormian). Stopień tolerancji w naszym regionie w okresie, kiedy w na zachodzie Europy szalała inkwizycja i trwały zaciekle wojny religijne, należy uznać za wysoki. Co zatem stało się później z tutejszą tolerancją, w jakich okolicznościach zdążył się tak rozwinąć i wypaczyć tutejszy nacjonalizm? Bibó widzi w tym, jak już wiemy, posiew rewolucji francuskiej, z którego wzrosła demokratyzacja uczuć patriotycznych. Dlaczego zatem zrodzony na tym gruncie nacjonalizm tak szczególnie wybujał właśnie w Europie Środkowej? Rzuca się w oczy, że Bibó nie uwzględnia w swych rozważaniach na ten temat faktu, iż kraje te padły ofiarą (abstrahując w tej chwili od win i przyczyn) obcej przemocy i na długi okres pozbawione zostały niepodległości i państwowości. Szczególnie wyrazista była sytuacja Polski rozszarpanej przez troje agresorów. Węgry wchłonięte w całości przez imperium Habsburgów zachowywały, wprawdzie w warunkach upodrzednienia wobec Austrii, integralność terytorialną i nawet – relatywnie – pozycję hegemonia w stosunku do narodowości zamieszkujących ziemie Korony Węgierskiej. Podobną pośrednią pozycję zajmowały również Czechy. Zarówno w Polakach, jak i w Madziarach w XIX (i XX) wieku świadomość upokarzającego statusu aktualnego łączyła się ze zmitologizowaną pamięcią niegdysiejszej potęgi, z dawną dumą sarmacką względnie scytyjsko-huńską. Dopiero na takim gruncie mógł się bujnie rozkrzewić i osiągnąć szczególnie mocne natężenie nowoczesny nacjonalizm. Podsycany był nawet w warunkach niewoli narodowej przez wieszczów, używany w służbie patriotyzmu, dążeń narodowyzwoleńczych. Miał tedy funkcje obronne, podtrzymywał entuzjazm wolnościowy, poczucie tożsamości i uczucia wspólnotowe. Nawet jeżeli, siłą rzeczy, pojawiały się przy tym akcenty ksenofobiczne, czy raczej – podkreślanie własnej wyższości (jak w mesjanizmie czy w *Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego*), to ich funkcja była przecież oczywista. To samo można było powiedzieć już w mniejszym stopniu o XIX-wiecznym nacjonalizmie węgierskim. Najbliższy był polskiemu w okresie Wiosny Ludów, ale na ogół rozciągał się nad nim cień stosunku Madziarów do własnych mniejszości narodowych.

Tym bardziej że łatwiej im było o empatię, jako że relacja narodowości Korony względem Węgrów była podobna do relacji Węgrów względem Austriaków. Szkoda, że István Bibó nie napisał dokładniej, w czym dostrzegł cechy zdegenerowanego nacjonalizmu środkowoeuropejskiego, w jakim okresie (okresach) ujawniał się on szczególnie drastycznie i na czym polegał. Pozostając przy najbliższym nam przykładzie Polski, próbujemy się domyślać, że mogło chodzić o stosunek Polaków do mniejszości narodowych zamieszkujących II Rzeczypospolitą, zwłaszcza do Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, zapewne Żydów, być może również Niemców (bardzo nie podobały się mu deportacje ludności niemieckiej po II wojnie światowej). Przy całym szacunku dla wnikliwości Bibó, dla jego zaświadczonej w tylu miejscach rzetelności intelektualnej i moralnej, wydaje się jednak, że przynajmniej w tym przypadku dysponował zbyt jednostronną wiedzą na temat historii Polski i dlatego niektóre jego stwierdzenia i uogólnienia mogą budzić uzasadnione wątpliwości.

Zastanawiające, że István Bibó, mając świadomość takich specyficznych wyznaczników sytuacji środkowoeuropejskiej, jak „migotliwość podziałów narodowych” oraz „egzystencjalny lęk o los wspólnoty”, tak surowo ocenia tutejszy nacjonalizm. Píše: „W przeciwieństwie do sytuacji zachodnioeuropejskiej, w Europie Wschodniej terytorialne ramy narodowe były czymś, co trzeba było wykonać, wywalczyć, utwierdzić, o co trzeba było wciąż się niepokoić nie tylko w związku z narzędziami, którymi posługiwały się dynastyczne kręgi władzy państwowej, lecz także w związku z obojętnością pewnej części własnego ludu i chwiejnością świadomości narodowej.”

I dalej: „Nad życiem tych wszystkich krajów położyła się cieniem obca władza państwowa. Władza ta zabrała im najlepszych synów, ponieważ najzdolniejszym oferowała karierę, a najsprawiedliwszym – więzienie i szubienicę. Kolidują między granicami historycznymi a etnicznymi rychło doprowadziła poszczególne narodowości do waśni. Każdy z krajów tej części Europy doczekał chwili, w której całość bądź część jego ludności znalazła się pod obcym panowaniem, niekiedy łączącym się z dyskryminacją i uciskiem. Tutaj nie trzeba narodu wymordować ani deportować, tutaj do tego, by poczuł się zagrożony, wystarczy z wielką agresją podać w wątpliwość jego istnienie. (...) W tych krajach wielkie masy ludowe, dla których kształtujące się nowe ramy narodowe nie pokrywały się ze znaną z historii rzeczywistością państwa dynastycznego, odniosły się początkowo do idei narodowej z niejaką biernością, w związku z czym narodowa inteligencja podjęła olbrzymi wysiłek, by dać ludowi lekcję uczuć narodowych.”

Trudno nie zgodzić się z tymi słowami. Składa w nich Bibó swego rodzaju zadośćuczynienie narodom środkowoeuropejskim, a jednak podkreśla mocno ich „nędzę”. Nacjonalizm tutejszy, tłumiący i deformujący procesy demokratyczne, ma być jednym z naczelnich argumentów przemawiających na rzecz owej surowej kwalifikacji. Bibó stawia tezę, że do harmonijnego rozwoju politycznego niezbędne jest, „by sprawa wspól-

noty i sprawa wolności stanowiły jedność”. Demokracja nie może się łączyć z lękiem. Jeśli lękamy się, że postęp demokracji może zagrozić drogim dla nas wartościom: stabilności, pokojowi społecznemu, ładowi moralnemu, dobru narodu (wspólnoty), to wówczas z dobrodziejstw demokracji nie da się korzystać. Tymczasem w Europie Środkowej było to zjawisko nagminne. „W ciągłym poczuciu lęku i zagrożenia zasadą stało się wszystko to, co *prawdziwe* demokracje poznają tylko w chwilach *prawdziwego* niebezpieczeństwa: ograniczenie wolności obywatelskich, cenzura, tropienie osób wysługujących się wrogom, polowania na „zdrajców” (...) Pojawiły się rozmaite zmienne formy fałszowania i korumpowania demokracji, od metod częstokroć nieświadomych aż po najbardziej wulgarne: wygrywanie przeciw demokracji powszechnego prawa wyborczego (...) i przejściowe dyktatury.”

Rozumowanie Istvána Bibó nie do końca wydaje się przejrzyste. Ukazuje on kilka istotnych znamion społeczeństw środkowoeuropejskich. Są to zjawiska negatywne, aczkolwiek przynajmniej w jakiejś mierze ugruntowane w nieszczęśliwej świadomości ukształtowanej przez fatalne doświadczenia historyczne. Wzajemnie na siebie oddziałują, a owe oddziaływania przynoszą skutki destrukcyjne, przyczyniają się do coraz większych defektów i wypaczeń życia społecznego. Nacjonalizm w obliczu domniemych zagrożeń związanych z demokracją degeneruje się coraz bardziej. W wyznaczonej przez ten chory układ konfiguracji lęków, fobii, podejrzeń, restrykcji, agresji demokracja ulega wypaczeniu. Możemy jednakże zapytać, które z cech i działań odnosimy do narodu i społeczeństwa na poziomie zwykłych „szarych obywateli”, przeciętnych zjadaczy chleba, które zaś należy przypisać – głównie, o ile nie w całości – organom władzy, aparatowi państwowemu. Wymienione bowiem przez Bibó, przytoczone wyżej, przejawy psucia demokracji dają się przypisać wyłącznie podmiotom zinstytucjonalizowanym i trudno o nich mówić w oderwaniu od sfer władzy państwowej. Bibó jest z pewnością tego świadomy; trudno bowiem przypuszczać, by w tytule swej pracy przypadkowo mówił nie o nędzy narodów, czy może raczej – społeczeństw, tylko – „państw wschodnioeuropejskich”. Wprawdzie, jak już wspomniałem, ta dystynkcja nie rysuje się wyraziście w całych partiach jego wywodu, częstokroć mówi bowiem tak, jakby owa nędza była przede wszystkim piętnem tutejszych narodów, jednakże w kilku punktach zaznacza, iż do jej rozsądników zalicza się również elita i kręgi kierownicze. „Na Zachodzie – pisze – elita stymulująca rozwój demokratyczny i narodowy składała się przede wszystkim z przeciwników administracji publicznej, pisarzy politycznych, kierowników życia gospodarczego, inteligentów wykonujących wolne zawody oraz przywódców związków zawodowych.

W przeciwieństwie do tego, w Europie Środkowej i Wschodniej dokonało się dwukierunkowe odchylenie: po pierwsze do decydującej roli doszli ponownie znajdujący się w ostrym konflikcie z duchem demokracji władca, szlachcic i żołnierz, po drugie zaś zupełnie wyjątkową rolę otrzymała tzw. narodowa inteligencja. (...) Szczególnie wzrosło

znaczenie tych narodowych profesji, które zajmowały się specyficznymi właściwościami wspólnoty narodowej oraz ich pielęgnowaniem.”

Bibó uważa, że fatalnym efektem zbożnej – zdawałoby się – działalności owej narodowej inteligencji stała się „ideologia nacjonalizmu językowego” (mowa cały czas o okresie dwudziestolecia międzywojennego). Przyczyniło się to do „fatalnego zboczenia z dobrej drogi dlatego, że zrodziły się zeń mętne teorie polityczne i filozoficzne, które następnie zaciążyły nad życiem politycznym zdjętych lękiem społeczeństw.”

István Bibó ma zapewne przed oczyma najbliższe mu podwórko węgierskie, jako że zarówno samo zjawisko nacjonalizmu językowego, jak i – co za tym idzie – jego wpływ na rozwój „mętnych teorii politycznych i filozoficznych” nie dają się tak prosto odnieść do ówczesnych warunków polskich. Badacze międzywojennych dziejów Polski wydobyli rozmaite przejawy opacznych ideologii i filozofii, ale jeśli nawet wiązali je z nacjonalizmem, to nie wspominali o nacjonalizmie językowym. Gdzie można by się go doszukiwać? Wobec jakich zjawisk społecznych ówczesnej Rzeczypospolitej miałby się taki – hipotetyczny – nacjonalizm określać. Zapewne wobec tendencji odśrodkowych ujawniających się wśród mniejszości narodowych. Musimy wszelako pozostać w sferze domniemywań, zakładając, iż specyficzna polska perspektywa badawcza uniemożliwiła wyluskanie takiego wariantu powszechnie znanego, i występującego także u nas, zjawiska. Bibó łączy je z ogólną deformacją kultury politycznej, wyrażającą się dysharmonią pomiędzy pragnieniami a rzeczywistością, upajaniem się własną przeszłością, mitomanią, megalomanią. Wszystko to w dużej mierze służy kompensacji kompleksu niższości. Taki stan psychiczny danej społeczności należy uznać za chorobliwy, a samą chorobę – za formę zbiorowej hysterii. Stała się ona dla Istvána Bibó kluczem do interpretacji i zrozumienia duchowości niemieckiej ostatnich wieków, teraz podobnie diagnozuje przypadłości narodów (społeczeństw) środkowoeuropejskich. Wskazuje też konsekwencje. Pisze: „Stała i pozbawiona nadziei niepewność bytu prowadzi do zupełnego zakłócenia świata wartości. Każdy przejaw życia narodowego był podporządkowywany celowości narodowej, a wszystkie osiągnięcia, zarówno rzeczywiste, jak i wyimaginowane – od Nagrody Nobla po rekord olimpijski, utraciły swój spontaniczny autoteliczny charakter i znalazły się w służbie narodowego samopotwierdzenia się. Od fałszu po morderstwo wszystko stawało się święte i nietykalne, jeśli zostało dokonane w imię narodu lub w interesie narodu.” W tej samej służbie funkcjonowały środki przekazu, a także – co gorsza – „narodowa nauka”. Otóż tak pojmowana nauka stawiała sobie za cel wypracowanie np. historycznej (a jeżeli okazywało się to niemożliwe, wówczas – prehistorycznej) prawomocności narodowego bytu. Poszukiwała również naukowych argumentów na rzecz pożądaných opcji terytorialnych oraz „naukowych” uzasadnień i usprawiedliwień dla terytorialnych roszczeń bądź sporów. Autor *Nędzy małych państw wschodnioeuropejskich* uważa tego rodzaju praktyki za niezwykle szkodliwe nie tylko

w ich praktycznym wymiarze i bezpośrednich konsekwencjach politycznych, lecz także w planie ogólniejszym, w dalekosiężnych skutkach: w zafałszowywaniu stosunku elit do rzeczywistości, w deprawacji moralnej członków wspólnoty. Albowiem owa tytułowa „nędza małych państw” regionu to, w ujęciu Bibó, w znacznej mierze „nędza sporów terytorialnych”: „Zakłócenie terytorialnego statusu Europy Środkowej i Wschodniej (a także deformacja jej kultury politycznej) fatalnie zaciążyło na wzajemnych stosunkach tutejszych narodów.”

Tu István Bibó przedstawia aktualny stan stosunków wzajemnych w regionie, owo chwiejne i niepewne *status quo*, skażone zarówno resentymentami, jak i niekorzystnymi przypadłościami mentalnymi odnoszącymi się do teraźniejszości, wreszcie – istotnymi wadami strukturalnymi. Nieustające napięcie w kwestii granic terytorialnych podtrzymywane jest przez swoistą „wojnę językową”, zrodzoną na gruncie znanego nam już „nacionalizmu językowego”. Ludy te – pisze Bibó – chcą ugruntować przyszłość swego życia państwowego na wspólnocie ludzi mówiących tym samym językiem. Od wyników statystyki językowej uzależnia się sposób wytyczania granic państwowych i rozstrzygnięcia roszczeń terytorialnych.

Bibó ukazuje w tym kontekście, z ogromną empatią, „nieznośność mniejszościowego życia”. Na różnorodne formy dyskryminacji mniejszości narodowych mógł się prawdopodobnie do woli napatrzeć w swym kraju. A był na to, jak na wszelką krzywdę, niezmiernie wprost wyczulony. Solidaryzując się z mniejszościami, narażał się na nieufność, czy w skrajnych wypadkach wręcz potępienie, ze strony swych rodaków. Wszak w przypadku rozmaitych doraźnych konfliktów mogli oni znajdować rozmaite racjonalne argumenty na rzecz działań doraźnych przeciwko mniejszościom. Bibó znał dobrze tę „rozbudowaną frazeologię” krzywd mniejszości i większości, tę atmosferę wzajemnej nieufności i podejrzliwości. „Zupełnie beznadziejny – pisał – jest ciągły spór o to, czy zaczęło się od dyskryminacji ze strony większości, czy od antypaństwowej akcji wszczętej przez mniejszość”.

Rozwiązanie tego węzła gordyjskiego, jakie proponował Bibó, mogło się wydawać zaiste brawurowe, zatraćające wręcz o paradoks, dla wielu przedstawicieli większości narodowej – trudne do przyjęcia: „Naturalnie – dowodził – że w takiej sytuacji odważna, demokratyczna, widząca rzeczy jakimi są, opinia publiczna oraz polityka mogą postąpić w jeden sposób. Otworzyć przed mniejszością maksymalne możliwości i spełnić z własnej inicjatywy jej najdalej nawet idące roszczenia, co łączy się jednak z podjęciem ryzyka ewentualnej separacji (secesji). (...) Konieczne jest to, by się nie bać i nie sądzić, iż odłączenie się od kraju terytoriów zamieszkałych przez mniejszości jest równoznaczne ze śmiercią narodu.”

Autor *Nędzy małych państw wschodnioeuropejskich*, wypowiadając powyższe słowa, trzyma się konsekwentnie głoszonej przez siebie zasady, iż demokracja nie da się pogo-

dzic z lękiem. Głosił również, że nie do pogodzenia z nią jest również charakterystyczna dla Europy Środkowej i Wschodniej terytoriocentryczna teoria potęgi i rozkwitu narodu.

Czy jednak szlachetne słowa Bibó nie brzmią, w świetle doświadczeń, jakimi dysponujemy na początku XXI wieku, po kilkudziesięciu latach od ich sformułowania, zbyt idealistycznie, można powiedzieć – nierealistycznie? Czy węgierski myśliciel w dostatecznym stopniu uwzględnia w swym postulatcie odważnej, demokratycznej odpowiedzi na wszelkie, najbardziej nawet skrajne, zmierzające wprost do secesji, roszczenia mniejszości, rozmaite niuanse takich sytuacji? Z perspektywy Węgier potrianońskich postulat ów adresowany mógłby być na przykład do państw z nimi sąsiadujących: Rumunii, Czechosłowacji, Jugosławii, a jego spełnienie mogłoby w ostatecznym rozrachunku skutkować odłączeniem się od tych krajów mniejszości węgierskiej, wraz z zamieszkanymi przez nią terytoriami. Czy mogłoby to oznaczać w dalszej kolejności także przyłączenie z powrotem owych ziem (tylko tych etnicznie węgierskich, o których Bibó wcześniej się już wypowiadał) do Węgier, a zatem unieważnienie, w praktyce, odnośnych postanowień traktatu pokojowego? Jak wielka odpowiedzialność polityczna wiąże się z takimi działaniami, na jaki osąd współczesnych i potomnych wystawiają się decydenci, jakie nieobliczalne skutki mogą ujawnić się w sferze międzynarodowej? A wyłaniają się inne jeszcze kwestie, które Bibó zdaje się pomijać. Pierwsza to „czystość” etniczna i językowa terytoriów, na których dana mniejszość jest większością. W przypadku dozwolonej secesji, za jaką w razie konieczności skłonny jest optować autor *Nędzy małych państw wschodnioeuropejskich*, a następnie wcielenia oderwanego terytorium do państwa macierzystego dla zrewoltowanej mniejszości, co począć z tymi, którzy, będąc większością w dawnej konfiguracji, stają się mniejszością w nowej? Nie zawsze jasne są również kryteria kwalifikacji mniejszości czy wręcz statusu mniejszościowego. Jak mają zachować się „odważni i prawdziwi demokraci”, jeżeli maksymalnie radykalne roszczenia zgłosi mniejszość etniczna (idąc za przykładem mniejszości narodowych mających swą większość w kraju ościennym) pozbawiona (nigdy niemająca) państwa macierzystego, np. cygańska. Co począć, gdy w Czechach na niepodległość będą chcieli wybić się Morawianie, a w Polsce autonomii i niepodległości zapragną Kaszubi lub Ślązacy? I jak kwalifikować bądź oceniać deklaracje odnośnie do tożsamości. Jak wreszcie oceniać w takich i podobnych przypadkach rolę ideologów i polityków lokalnych, którzy marzą o oderwaniu przyszłych swych małych „królestw”, w tym upatrując realizację swych ambicji?

Czy w obliczu tych wszystkich (i jeszcze innych) problemów cena demokratycznej dezintegracji nie byłaby zbyt wysoka? Czy nie wywołałoby to nowych konfliktów, nie stworzyło nowych ognisk zapalnych?

Zapytajmy wreszcie, czy István Bibó mógł nie dostrzegać tych wszystkich problemów i piętrzących się przeszkód na drodze ładu europejskiego i konsolidacji?

Wiadomo, że jako rasowy demokratą był niechętny wszelkim próbom dominacji i przemocy. Prawo narodów do samostanowienia było dlań świętym nakazem, ale przecież i w owym prawie czaiły się pułapki i występowały szare strefy nadużyć. Charakteryzując nasz region, Bibó pisał: „Tu spotykamy teorie o przewodniej roli rozmaitych narodów, o ich misji w dziedzinie szerzenia bądź obrony kultury, chrześcijaństwa, demokracji. Niezupełnie pokrywa się z owymi teoriami niemiecka koncepcja «Herrenvolk», która w zasadzie miałyby obowiązywać w stosunku do wszystkich innych narodów. Tymczasem przywódcze uprawnienia małych narodów wschodnioeuropejskich odnoszą się jedynie do pewnego pożądanego albo posiadanego terytorium, a jedynym ich celem jest przeciwstawienie się dążeniom mniejszości etnicznych, wspólnot innojęzycznych do oderwania się od państwa.”

Nie mogą inne prawa i zasady obowiązywać w Europie Środkowej i Wschodniej, inne zaś – być wiążące dla Zachodu czy Wschodu (czy – dajmy na to – dla Stanów Zjednoczonych). Wiwisekcja naszego regionu, jego dziejów i jego dzisiejszych (1945) słabości, nawet jeśli jest w wielu punktach wnikliwa i trafna, nader często prowadzi do charakterystyki, w której cechy przypisywane Europie Środkowej (vel Wschodniej) nie stanowią bynajmniej jej specyfiki. A przynajmniej: ujmowane są na takim poziomie ogólności, że w tej postaci nie wynikają w sposób konieczny z lokalnej konfiguracji rozmaitych czynników realnych (historycznych i strukturalnych) oraz świadomościowych, względnie mentalnych. Rozliczne przypadłości, które według Istvána Bibó, mają stanowić atrybuty Europy Środkowej, odnajdziemy bez trudu w innych częściach Europy i świata.

Tak rzecz się ma również z owymi, krytykowanymi przez Bibó, „teoriami o przewodniej roli” własnego narodu i z innymi przejawami „misjonarstwa” i megalomanii narodowej. Już w obrębie swego wywodu autor czuje się zobligowany do konfrontowania owych środkowoeuropejskich „snów o wielkości” z groźną niemiecką ideą „narodu panów”. A przecież podobne idee – z akcentem na misję – przyświecały wszystkim kolonizatorom i kolonizacjom. Stanowią nieodłączny element ideologii imperialistycznych. Specyfika środkowoeuropejska tego typu konstrukcji myślowych polega na tym, że mają one w istocie – w większości przypadków – charakter defensywny i kompensacyjny. Są to „sny o potędze” ofiar historii, narodów znających smak niewoli, obcej tyranii, drżących – co tak świetnie wyczuwa Bibó – o swą niepodległość (której cenę zdążyli boleśnie poznać), o swą integralność terytorialną jako rękojmię zachowania własnego suwerennego bytu, który – jak się już przekonały – może być przez obce potencje nie tylko zakwestionowany, ale też – unicestwiony. I tutaj dopiero ujawnia się żalostna, wstydliva, można rzec – nędzna, strona tych zrozumiałych skądinąd zabiegów i starań. Bo oto narody tak ciężko doświadczony przez los, który ucieleśniał się w potężnych sąsiadach, z reguły same skłonne są dostarczać podobnej traumy jeszcze słabszym i bezbron-



niejszym od siebie. W tym – i tylko w tym – kontekście zrozumiała jest moralna determinacja Istvána Bibó.

Od czasu, w którym dawał jej wyraz minęło ponad sześćdziesiąt lat. Z dzisiejszej perspektywy problem, o którym właśnie mówimy, pojawił się w szczególnej mutacji w państwach Zachodu. Zwłaszcza w krajach będących niegdyś potęgami kolonialnymi. Ludność dawnych kolonii odwzajemnia niejako gościnę i osiedla się w „metropolii” coraz bardziej masowo. Obserwując tendencje demograficzne, można się obawiać, że z biegiem dziesięcioleci rdzenni Europejczycy będą stawać się mniejszością w swoich krajach. Dziś, kiedy jeszcze sprawa jest względnie otwarta, pole manewru jest jednak, wskutek nieubłaganego dyktatu ekonomii, ograniczone. A pole moralne? Jak postępować w obliczu zmasowanej imigracji? Teoretycznie zjawisko to może zagrażać dziedzictwu kultury europejskiej, z językami narodowymi i utrwalonymi w nich dziełami (zwłaszcza literatury pięknej) w pierwszej kolejności. Czy należy zatem dążyć do całkowitej asymilacji imigrantów? A jeżeli działania zmierzające w tym kierunku spotkają się ze zdecydowanym oporem? W jakim zakresie można je podejmować, mając na względzie niekwestionowaną dziś w kulturze europejskiej zasadę tolerancji, prawa mniejszości i tym podobne zasady humanitarne, mające częstokroć umocowanie w prawie? Można powiedzieć, że ta kategoria problemów ma w perspektywie przyszłości znaczenie ogólnoeuropejskie w tym sensie, że gra idzie o los Europy i europejską tożsamość. A nie można zapominać o dylematach związanych z masowymi – wewnątrz europejskimi – migracjami zarobkowymi. Przypominają one niekiedy, w niektórych swych aspektach, problemy poruszane przez Istvána Bibó w związku z Europą Środkową i Wschodnią. W jaki sposób demokracja niemiecka powinna postępować w obliczu radykalnych żądań i roszczeń wielomilionowej rzeszy tureckiej zamieszkującej terytorium Niemiec? Czy można określić granice jej dopuszczalnej solidarności z krajem pochodzenia (na wypadek konfliktu interesów obydwu krajów)?

Autor *Nędzy małych państw wschodnioeuropejskich* składa ciężkie brzemie zasad demokratycznych, wymogów tolerancji, nakazów odpowiedzialności na barki reprezentujących większość, na barki liczniejszych i silniejszych. Nie rozwodzi się nad ich – ewentualnym – prawem do narzucania mniejszościom chociażby elementarnych warunków kohabitacji, nie akceptuje asymilacji, jeśli miałyby się wiązać z formami przymusu czy nacisku ze strony „gospodarzy”. Z dezaprobatą pisze nawet o „frazologii węgierskiej i czechosłowackiej” mającej coś takiego, jak „prawa gospodarzy” uzasadniać. Ironizuje na temat „metody węgierskiej”, opierającej się na podkreślaniu historycznej prawdziwości i tysiącletniego posiadania terytorium w Niece Karpat. Wyśmiewa usprawiedliwianie historycznych roszczeń dawną misją obrony chrześcijaństwa (*antemurale*). Konkluduje, że „argumentacja węgierska jest obciążona ciężkim grzechem irrealizmu, gdyż jest sprzeczna z podstawowym procesem kształtowania się narodów w Europie

Środkowej i Wschodniej: z upadkiem historycznych organizmów państwowych.” Podobnie traktuje „metodę czechosłowacką”, a zapewne taki sam los mógłby spotkać „metodę polską”. Wszystkie zresztą musiały być pokrewne.

Niezależnie od sformułowanych tu licznych wątpliwości i zastrzeżeń co do prawomocności diagnoz Bibó i zakresu stosowalności płynących z jego wniosków i dyrektyw, należy przyznać, że niejednokrotnie trafiał w czuły punkt naszej – regionalnej – ułomności.

Uzasadniając swe tezy o panującej tutaj nad umysłami „histerii terytorialnej”, przywołuje następujące przykłady: „Względy terytorialne sprawiły, że w 1938 roku Polska – wbrew oczywistej sprzeczności interesów – szła tą samą drogą, co Niemcy, aspiracje terytorialne wciągnęły do działań wojennych Włochy w 1940 roku (a zatem owa histeria nie ograniczała się do „małych państw wschodnioeuropejskich” – przypisek mój, J.S.); względy terytorialne sprawiły, że w 1941 roku do obozu proniemieckiego przeszła Rumunia, a Węgry i Bułgaria znowu w decydującej chwili uwikłały się w wojnę u boku Niemców.”

W newralgiczny punkt trafia również bezlitosna refleksja Bibó na temat jednego z najsmutniejszych – jak to formuluje – rozdziałów deformacji kultury politycznej w Europie Środkowej i Wschodniej: „nie chce żyć z tego, co sam sobą reprezentuje, a tylko z tego, że ma żądania wobec życia, wobec historii i wobec innych. W takim stanie ducha coraz bardziej traci się poczucie własnych zobowiązań i własnej odpowiedzialności, a każda zasada moralna dobra jest tylko wtedy, gdy można się nią posłużyć do wsparcia własnych roszczeń.”

Przypominają się podobnie mocne słowa krytyki rzucające w twarz rodakom przez Stanisława Brzozowskiego. Wszelako podsumowując swe rozważania na temat rozlicznych wyznaczników „nędzy małych państw” naszego regionu, zdobywa się Bibó na słowa zadośćuczynienia; wskazuje oto jej genezę: „Region ten nie dlatego nie może się skonsolidować, że jest zasadniczo barbarzyński, ale właśnie dlatego stał się barbarzyński, że w wyniku serii nieszczęśliwych wydarzeń historycznych został z drogi konsolidacji europejskiej zepchnięty i nie zdołał na nią powrócić. Niestety, niezbyt mu pomagano, wręcz przeciwnie – czasem nawet przeszkadzano.”

W przededniu ważnych politycznych rozstrzygnięć Bibó zastanawia się nad możliwością konsolidacji. Do tej pory, jak twierdzi, dwukrotnie pojawiła się w tym regionie taka możliwość, w chwilach rozpadu dwóch ponadnarodowych imperiów: osmańskiego (1912) i habsburskiego (1918). Obecnie – tj. zaraz po II wojnie światowej – jeśli nie liczyć wyjątku jugosłowiańskiego, państwa środkowoeuropejskie są z reguły narodowe i jednojęzyczne (co nie wyklucza jakichś wysp językowych czy mniejszości etnicznych). Granice ukształtowane historycznie przestały obowiązywać na rzecz granic etnicznych. Bibó rozważa „przesady zaciemniające problemy granic”, np. przesąd o niemożności ustalenia granicy sprawiedliwej oraz przesąd o niejednorodnym etnicznie regionie (co

byłoby groźne tylko w przypadku historycznych roszczeń). Jest przeciwnikiem jakichkolwiek federacji, przypominając, że „w tej części Europy istniała już ponadnarodowa federacja w formie Imperium Habsburgów” (zresztą warunkiem wstępnym tworzenia federacji musi być przynajmniej minimalna stabilizacja granic): „Każdą konsolidacja zaczyna się wówczas, gdy wytworzy się stan, w którym nie ma dyskusji co do kwestii zasadniczych. Na szczeblu międzynarodowym taką kwestią jest problem granic.”

Problem ten stanowił wciąż po zakończeniu wojny potencjalne ognisko zapalne. Neutralizację zagrożeń widział Bibó w starannie i umiejętnie przeprowadzonych plebiscytach ludności, natomiast – jak podkreślał – na wymianę ludności i wysiedlenia można przystać wyłącznie w sytuacji bezwzględnego przymusu. Należy to wówczas zrobić „na zasadzie wzajemności, pod kontrolą międzynarodową i ostatecznie.” Obawiał się przede wszystkim upadku nauki o dobrym stanowieniu pokoju (pozytywny wzorzec widział w epoce Oświecenia) oraz zaniku zasad. Pisał: „Nie pozwólmy, aby z kwestii terytorialnych wyrastała rozgłaszana nieprzerwanie przez irredentyzm i rewizjonizm frazeologia krzywd i roszczeń. Zdajemy sobie sprawę, że doprowadziłoby to ów nieszczęśliwy region do jeszcze większej nędzy. Należy nie dopuścić do tego, by ludy Europy Środkowej i Wschodniej niepokoiły nasz kontynent. Europa potrzebuje bezwzględnie stabilności, a zatem trzeba przeszkodzić okrojonym państwom w ich woluntarystycznej agitacji nawet przy użyciu organów bezpieczeństwa. Dokładnie tak samo należy przeszkodzić państwom «posiadającym» w uciskaniu mniejszości. (...) Dwie wojny światowe wybuchły z anarchii panującej w Niemczech i wśród małych narodów żyjących na wschód od Niemiec.”

Takim *memento*, sformułowanym z perspektywy całej Europy, kończy István Bibó swe rozważania o „nędzy małych państw wschodnioeuropejskich”. Od tamtej chwili minęło ponad sześćdziesiąt lat. Przez ponad czterdzieści Europa Środkowa znajdowała się między sierpem a młotem, w warunkach ograniczonej suwerenności, stłumienia narodowych sentymentów i resentymentów. Po wyzwoleniu się z objęć Wielkiego Brata, mimo perspektyw, a potem już realnych możliwości integracji europejskiej, mimo charakterystycznej dla dzisiejszego stanu umysłowości zachodniej, kształtowanej w cieniu globalnych, ponadnarodowych interesów, pierwiastki nacjonalistyczne ożyły, co doprowadziło do powstania wielu nowych małych państw w centrum Europy, a także na wschód od niej. Rozpadły się dwa ponadnarodowe twory państwowe, którym Bibó poświęcił sporo uwagi. Rozpadowi Jugosławii towarzyszyły przy tym tragiczne akty mordczej nienawiści narodów, które przez dziesięciolecia tworzyły wspólne państwo. Spokojnie, ale w sposób niepozostawiający złudzeń, podzieliła się nawet Czechosłowacja.

Przyszłość Europy Środkowej integrującej się z wolną ze strukturami europejskimi zapowiada się pod znakiem walki o własną tożsamość, o suwerenność kulturową, o god-

ne miejsce u boku wielkich potęg kontynentu. Nade wszystko jednak rysuje się w cieniu losu przyszłego całej Europy, której zmierzch – wieszczony od stulecia – staje się dziś istotnie realnym zagrożeniem.

#### **The misery of small states.**

#### **The idea of Central Europe in the thoughts of István Bibó**

This article will attempt to critically analyze the famous study *The Misery of Small States of Central Europe* written immediately after World War II by István Bibó. Reaching deep into the history of the three Central-European States – Poland, Czechoslovakia and Hungary – the great Hungarian social thinker seeks to identify the common features and mechanisms that caused aberrations in the oncoming evolution of the societies of the region, that is, among others, to a deformation of political culture, the rise of a so-called „antidemocratic” brand of nationalism, bitter territorial disputes, „language wars” etc. In my study I try to verify the diagnosis and thesis stated by Bibó in order to confront them with the topical problems of our region and the whole of Europe.

**Key words:** Europe, Central Europe, nationalism, territorial conflicts, „language wars”, democracy